Nr. 7. We Lwowie, lipiec, 1922. Rok XLIII.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki W lipcu wolno polować na rogacze, ptactwo wodne i błotne od 15-go.

Cena pojedynczego egzemplarza 140 Mk. — Prenumerata kwartalna 400 Mk.

Ceny ogłoszeń: cała strona 30.000 Mk, 1/2 str. 15.000 Mk, 1/4 str. 7.500 Mk. 1/8 str. 4.000 Mk, 1/16 str. 2.000 Mk, 1/32 str. 1.000 Mk. Ogłoszenia wewnątrz numeru o 50% drożej. — Wyłączne zastępstwo dla ogłoszeń: Biuro dzienników i ogłoszeń S. Sokołowski i Sp. Lwów, ul. Jagiellońska l. 7.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Mickiewicza l. 6. w podwórzu (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 1. Adres telegramów: „Łowiec", Mickiewicza 6. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

XXI. ZJAZD ŁOWIECKI

odbył się w dniach 23. i 24. czerwca b. r. Tak Walne Zgromadzenie, jak i strzelanie premiowe świadczyło o żywej i niespożytej sile dźwigającego się szybko z upadku po latach klęsk wojennych naszego łowiectwa. Z radością i dumą powiedzieć możemy, że tak licznego współudziału i zainteresowania nie pamiętamy w żadnym zjeździe przed wojną.

Wszystkim, którzy czemkolwiek do urządzenia i uświetnienia naszego Zjazdu przyczynić się raczyli, składamy z tego miejsca najserdeczniejsze podziękowanie. Wielka nasza wdzięczność należy się Władzom wojskowym, a w szczególności pp. Generałom Hallerowi i Jędrzejowskiemu za oddanie nam strzelnicy i ułatwienie jej urządzenia. Tym panom również jak i pp. Wojewodzie Grabowskiemu, prezydentowi Neumanowi, przedstawicielom prasy i innym dziękujemy za uświetnienie ich obecnością uroczystości otwarcia wystawy.

Wszystkim ofiarodawcom wspaniałych nagród strzeleckich za ich dary serdecznie dziękujemy, a już gorący nasz dank składamy młodziutkiej adeptce sztuki malarskiej, pannie Krystynie Ćwierzewiczównie za artystycznie i pięknie przez nią wykonane listy pochwalne dla Wystawy łowieckiej.

Wystawę tę otworzył Prezes M. T. Ł. Juliusz hr. Bielski dn. 23. czerwca o g. 9·30 rano w obecności licznych przedstawicieli Władz wojskowych i cywilnych, prasy i szerszej publiczności, zaznaczając, że łowiectwo nowoczesne uważane być musi za ważną gałęź gospodarstwa krajowego, i za czynnik chroniący rodzimą przyrodę, a jako takie powinno się cieszyć opieką i poparciem Władz i całego społeczeństwa. Zakończywszy swe przemówienie podziękowaniem zebranym za przybycie, przeciął kordelasem feston z jedliny zamykający wejście do sali wystawowej i ogłosił Wystawę za otwartą.



Sprawozdanie

z obrad XXI. Zjazdu Małop. Tow. Łowiec. odbytego w dniu 23. czerwca 1922 r.

W obecności zwyż 80-ciu członków Towarzystwa zagaja Prezes Jul. A. hr. Bielski o godz. 3 popołudniu Walne Zgromadzenie w sali Towarz. gospodarczego. Wita przybyłych a to wielu z dalekich stron członków Towarzystwa i delegatów, jak niemniej i delegatów wysłanych przez Towarzystwa myśliwskie i wyraża życzenie, by praca dzisiejszych obrad przyczyniła się do podniesienia łowiectwa, w obronie którego tyle lat walczyliśmy i walczymy. Członkom i delegatom Towarzystwa dziękuje za szczerą i owocną pracę w ciągu roku, za utrzymanie żywego kontaktu i ciągłej wymiany myśli z Wydziałem. Organizacja Towarzystwa postąpiła w ciągu roku nadspodziewanie naprzód.

Nie wszyscy jednak członkowie mimo żywego interesowania się sprawami łowiectwa i Towarzystwa na Walnem Zgromadzeniu jawić się mogli. Wielu zapewne powstrzymały ważne przeszkody natury prywatnej, wielu trudności komunikacyjne, a byli i tacy, którzy niewątpliwie byliby się tu stawili, gdyby z szeregów naszych przez śmierć nie ubyli.

W tem miejscu prosi o głos wiceprezes Albert Mniszek i oddaje hołd Zmarłym wymieniając, że rozstali sie z życiem: Juliusz hr. Bielski, Antoni Czarkowski, Wilhelm hr. Siemieński, Edward Schupik, Tadeusz Süssle a po wydrukowaniu sprawozdania pułk. Władysław Ścibor Rylski. Cześć zmarłym oddaje Walne Zgromadzenie przez powstanie, a wiceprezes Mniszek podnosi, że z Juliuszem hr. Bielskim, Ojcem Prezesa, ubył Towarzystwu najstarszy członek, hodowca, a myśliwy ze starej gwardji, którego pamięć zawsze nam świeżą będzie, a zgaśnie chyba z nami. Nadto nawiązując do podniosłej chwili oddania hołdu zmarłym, stawia dalej następującą rezolucję: „Jakkolwiek śp. Aleksander hr. Skarbek, zajęty ustawicznie najdonioślejszemi sprawami publicznemi, nie był członkiem M. T. Ł., to jednak Walne Zgromadzenie tegoż Towarzystwa, świadome olbrzymich zasług zmarłego w ugruntowaniu wolności, potęgi i chwały Zmartwychwstałej Ojczyzny, biorąc żywy udział w ogólnej, narodowej żałobie, składa niniejszem najgłębszy hołd pamięci tego znakomitego Polaka i Obywatela“. Podniosłym nastrojem i powstaniem z miejsc Walne Zgromadzenie oddaje hołd Zmarłemu i zaznacza w ten sposób przyjęcie rezolucji.

Następnie Prezes dziękuje wzruszony za objawione mu przez zebranie z powodu śmierci śp. Jego Rodzica współczucie, a w dalszym ciągu zagajenia podkresla z zadowoleniem, że z chwilą podziału dzielnicy naszej na Województwa natrafiliśmy u PP. Wojewodów na pełne, w wysokim stopniu obywatelskie zrozumienie ważności spraw kultury łowieckiej, spotkaliśmy się z sympatją, szczeremi chęciami i cennemi wskazówkami. Na takie same objawy natrafiliśmy u PP. Starostów i Komendantów Okręgowych Komend Policji Państwowej.

Jednem z głównych naszych starań było przywrócić „Łowcowi“ jego dawne szaty, co się już w znacznej mierze powiodło, a dalszem dążeniem Wydziału powinna być przemiana tego organu Towarzystwa na dwutygodnik, bo wtedy dopiero „Łowiec“ stanie się prawdziwym łącznikiem między członkami Towarzystwa a Wydziałem.

Spodziewaną jest nowa ogólna państwowa ustawa łowiecka. Towarzystwo nie może zaniedbać niczego, coby zmierzało ku temu, by jej postanowienia odpowiadały potrzebom łowiectwa, a nie były jego rozwojowi wrogiemi. Okoliczność ta zmusza nas nadto do tem silniejszego skonsolidowania slę dlatego Wydział uchwalił nowy potrzebom czasu odpowiadający regulamin dla delegatów, a nadto zaproponuje Walnemu Zgromadzeniu pewne dość daleko idące zmiany statutu. W sprawach tych udzieli mowca w stosownej chwili głosu referentom Wydziału.

Kończąc swe przemówienie, zwraca Prezes uwagę na to, że słonka staje się u nas ptakiem wybitnie lęgowym, a z tego powodu należy się jej w nowej ustawie odpowiedni a wyraźnie skodyfikowany czas ochronny. Zanim ta nastąpi jest moralnym obowiązkiem myśliwych odnoszenia się do ptaka tego odpowiednio do nowych zwyczajów jego życia. Nal ży zatem na ciągach wiosennych strzelać go tylko najwcześniejszą wiosną i to tylko na ciągu, a nie na buszowanego lub przed nagonką i wogóle unikać wszystkiego, coby nosiło cechę rekordowego strzelania go na wiosnę. Strzelanie słonki na ciągu wiosennym jest zbyt tradycyjnem, a uroczem spędzeniem chwil wśród budzącej się do życia przyrody, by od myśliwego żądać, aby tego polowania zupełnie zaniechał.

Również ptactwu wodnemu i błotnemu należałoby odpowiednio przedłużyć czas ochronny, by młode potomstwo, nieumiejące się jeszcze należycie chronić, nie pozbawiono przed czasem ochrony starek.

W końcu odczytuje Prezes depeszę referenta spraw łowieckich Ministerstwa rolnictwa i dóbr państwowych tudzież Towarzystwa myśliwych w Wilnie z życzeniami pomyślnego wyniku obrad, i zarządza odczytanie protokołu ostatniego Walnego Zgromadzenia.

Protokół ten po odczytaniu przyjęto.

Następnie w sprawie sprawozdania z czynności Wydziału udziela Prezes głosu Drowi Sanderowi, który, powołując się na to, że sprawozdanie z czynności Wydziału zostało w znajdującem się już w rękach członków zeszycie 6-tym „Łowca“ wydrukowane, zapowiada, że doda tylko to, co jest koniecznem, lub to, co się wydarzyło już po wydrukowaniu sprawozdania. Podnosi niebywały nawet przed wojną zapał członków dla spraw łowieckich i prosi, aby to usposobienie nie słabło, owszem, by się potęgowało, bo przyszłe Wydziały dla zdobycia ostatecznych wyników będą koniecznie potrzebowały i moralnego i finansowego poparcia członków Towarzystwa. Towarzystwo w ostatnim roku zdobyło sobie tak wielką powagę, iż wiceprezes Czarkowski Gojelewski, z którym sprawozdawca miał zaszczyt w dniach 26 i 27 maja br. reprezentować je na konferencji łowieckiej w Warszawie ku utworzeniu Ogólnego Związku myśliwych całej Polski zwołanej, mógł tam śmiało wypowiedzieć te ważkie słowa, gdy w swem przemówieniu powiedział: „nie wiemy jak jest w innych dzielnicach Polski, lecz u nas jest tak, że kto nie należy do Małopolskiego Towarzystwa łowieckiego, a tu polowanie wykonuje, ten jest kłusownikiem“. Ważkiemi te słowa nazwać można, gdyż one uwydatniają najlepiej powagę Towarzystwa i garnięcie się wszystkich prawdziwych myśliwych pod jego sztandar. Wypowiedziane te słowa jednak rodzą dla nas poważne obowiązki i są dla nas imperatywem na przyszłość. Nakazują bowiem Wydziałowi i delegatom z jednej strony czuwać nad tem, by żaden prawdziwy myśliwy przez jakieś przeoczenie lub nieświadomość poza Towarzystwem nie pozostawał, a z drugiej strony całemu Towarzystwu starać się o to, by nikt niegodny miana myśliwego w niem nie popasał.

W pisemnem sprawozdaniu zaznaczono już, że stosunki nasze z bratniemi Towarzystwami całej Polski były jak najlepsze, a tu podnieść należy, że aczkolwiek nie arrogowaliśmy sobie nigdy jakiegoś wyjątkowego stanowiska, to jednak musimy praw prawdziwego myślistwa w tej dzielnicy polskiej bronić i w ten sposób ułożyć nasz stosunek do utworzyć się mającego czy też, jak niektórzy chcą, już utworzonego, Ogólnego związku łowieckiego całej Polski, by z układających się u nas dobrze stosunków niczego nie uronić. Na wspomnianej już konferencji łowieckiej w Warszawie podano delegatom pojedynczych towarzystw gotowy projekt statutu takiego związku, wypracowany przez Polskie Towarz. łow. w Warszawie. Jakkolwiek statut ten do wiadomości delegatów naszych doszedł dopiero w ostatniej chwili, bo dopiero na samej konferencji, delegaci nasi zorjentowali się natychmiast, że nie

odpowiada on tak samo istotnemu stanowi sprawy, jak mu nie odpowiada w praktyce już stosowany statut Pol. Związku myśliwych w Poznaniu. Obie te prace ustawodawcze bowiem opierają się na Towarzystwach myśliwskich, zapoznając, że prawdziwe myślistwo znajduje ostoję raczej u prywatnych właścicieli i dzierżawców polowań. Nasi delegaci byli zdania i obstawali przy tem, że ogólny związek łowiecki w Polsce stworzony być może tylko jako związek związków w tem zrozumieniu, iżby doń należały bezpośrednio tylko Towarzystwa analogicznie jak nasze, tylko kulturę łowiecką na oku mające, a bezpośrednio polowań nie wykonujące, a dopiero by w tych towarzystwach jako pośrednich ogniwach skupiali się tak prywatni hodowcy i myśliwi jak i Towarzystwa par exellence myśliwskie. Nasi delegaci odnieśli wrażenie, iż to ich zdanie delegatów innych dzielnic przekonywało. Na konferencji warszawskiej jednak żadne pozytywne uchwały nie zapadły i sprawę założenia Ogólnego Związku łowieckiego odłożono na sejmik Pol. Związku myśliwych w Poznaniu w dniu 19 czerwca b. r., na który delegaci całej Polski przez p. Wielkiego łowczego P. Z. M. zaproszeni zostali. Do chwili tego Walnego Zgromadzenia niewiadomo, jakie uchwały zapadły w Poznaniu, gdyż delegat nasz, wiceprezes Mniszek wskutek przyczyn od gorliwości jego wyższych, a mianowicie wskutek braku bezpośredniego połączenia przez Śląsk Górny, z drogi zawrócić musiał. obliczywszy, że na konferencję wczas już nie zdąży. Ale i tak na sejmiku tem żywe nasze zajęcie się tą sprawą potrafiliśmy zaznaczyć, bowiem jeszcze przed wyjazdem naszego delegata wysłaliśmy do Poznania na ręce Pana Wielkiego Łowczego posyłką pospieszną odpowiednio zredagowany memorjał, w którym nasze stanowisko wobec zawiązać się mającego ogólnego związku wyłuszczyliśmy.

Sprawozdawca nie chcąc nużyć Walnego Zgromadzenia odczytywaniem tego obszernego memorjału, przedstawił tylko w krótkich słowach, że memorjał ten rozwija dokładniej dopieroco naprowadzone myśli o związku związków i prosi o przyjęcie następującej rezolucji:

Walne Zgromadzenie członków M. T. Ł. proponuje Myśliwstwu Polski, aby przy zakładaniu Ogólnego Związku łowieckiego w Polsce chciano uwzględnić następujące zasady:

1) Ogół Łowiectwa Polskiego przystąpi bezwłocznie lub po przygotowaniach wybranego w tym celu komitetu, w najkrótszym czasie do założenia „Naczelnego Związku Polskiego Łowiectwa w Warszawie".

2) „Naczelny Związek Polskiego Łowiectwa" przyjmie w kardynalnych przedmiotach wzorowy statut związków lub stowarzyszeń cele nauki, kultury i sztuki za swój cel mających, uwzględniając, że jest Związkiem Związków lub Stowarzyszeń mających na celu kulturę i ochronę łowiectwa.

3) Do Związku tego przystąpią jako równouprawnione:

a) Polski Związek Myśliwych w Poznaniu, skupiający w sobie i reprezentujący prywatnych hodowców, właścicieli i dzierżawców polowań, tudzież Towarzystwa myśliwskie w dwóch Województwach zachodnich ewentualnie w częściach obu Śląsków do Polski przyłączonych;

b) Małopolskie Towarzystwo Łowieckie we Lwowie skupiające w sobie i reprezentujące te same czynniki łowieckie czterech Województw południowych, z przyłączonemi do Polski częściami Spiża i Orawy, a ewentualnie Polskiej części Śląska Cieszyńskiego;

c) Wileńskie Towarzystwo myśliwych w Wilnie skupiające te same czynniki w Wileńszczyźnie i którego najspieszniejszem dążeniem będzie taka reorganizacja, by się stało bądź wyłącznie, bądź wybitnie Stowarzyszeniem mającem w pierwszym rzędzie kulturę łowiecką na celu, pozostawiając wykonywanie polowania swym sekcjom lub osobno utworzonym Towarzystwom myśliwskim;

d) Polskie Towarzystwo łowieckie w Warszawie tudzież najpoważniejsze zespoły łowieckie byłego zaboru rosyjskiego, które podzielą między siebie w najkrótszym czasie wspomniane terytorjum na przynależne im zakresy działania, a o ile chodzi o ostatnio wymienione Stowarzyszenia lub Towarzystwa, przeprowadzą u siebie w razie potrzeby reformę taką, jaką niewątpliwie W. T. M. w Wilnie dla dobra sprawy chętnie przeprowadzić zechce.

4) Do Naczelnego Związku Polskiego łowiectwa dopuszczone zostaną w przyszłości te Związki, względnie Stowarzyszenia, które odpowiadając warunkom propagowania kultury łowieckiej w ścisłem tego słowa znaczeniu, powstałyby z oznaczonym zakresem terytorjalnym bądź w granicach terytorjów między obecnie zrzeszyć się mające Związki podzielonych, po porozumiewawczym podziale tych terytorjów na nowo, bądź w rubieżach, któreby w przyszłości dla Państwa Polskiego rewindykowane zostały.

Mamy w Bogu i św. Hubercie nadzieję, że organizacja taka przeprowadzić się da i łowiectwu polskiemu walnie służyć będzie. Gdyby jednak okazać miała, że z przyczyn czy to natury technicznej, politycznej, lub jakiejkolwiek innej założenie tak pomyślnego Związku nie nastąpi, a miałby być utworzonym Związek opierający się bezpośrednio na Towarzystwach myśliwskich, nie uwzględniający równomiernie prywatnych hodowców, a raczej nie poddający obu tych czynników równomiernie większym, poważniejszym zespołom tylko kulturę łowiecką idealną na celu mającym, to M. T. Ł. pragnie wobec Związku takiego zachować swą autonomję w tem słowa znaczeniu, że przystępując do takiego Związku z prawami głosu względnie głosów, jakie mu na mocy uchwalić się mającego statutu przypadną, żąda jednak gwarancji, iż Związek z terytorjum wspomnianych 4 Województw nie przyjmie do Związku bezpośrednio żadnego Towarzystwa myśliwskiego tu siedzibę statutowo mającego, ani żadnej jednostki myśliwskiej tu zamieszkałej, a z powodu swych terenów myśliwskich z tą częścią Polski w widocznym związku stojącej, a zgłaszających się z chęcią przystąpienia do Związku odeszle do nas ze wskazówką, że tylko przez przynależność do naszej organizacji pośrednio wpływ na tok spraw łowieckich w Państwie mieć mogą.

Rezulucję tę jednogłośnie Walne Zgromadzenie członków M. T. Ł. przyjęło.

Następnie Prezes udziela głosu członkowi komisji rewizyjnej p. Stefanowi Reichardowi, a na wniosek jego uchwala Walne Zgromadzenie udzielić Wydziałowi absolutorjum z rachunków rocznych, a komisji rewizyjnej z czynności ich przeszkontrowania

W dalszym ciągu udziela Prezes ponownie głosu Drowi Sanderowi, jako referentowi spraw finansowych, a tenże przypominając. że już w poprzedniem swem przemówieniu zaznaczył, że prócz poparcia moralnego dla dalszego rozwoju towarzystwa a nawet choćby dla uchronienia go przed cofaniem się wstecz, potrzeba też i finansowego poparcia, podnosi, że w kwestji finansowej odróżnić należy dwa momenty, a to sprawę wysokości wkładek od 1 stycznia 1923 i potrzeby pieniężne Towarzystwa do końca bieżącego roku. Referent zaznaczając, że wskutek ciągłego spadku waluty a wzrastającej drożyzny wysokości wkładki na rok 1923 już dziś oznaczyć nie można, postawił przedewszystkiem wniosek, aby Walne Zgromadzenie upoważniło Wydział do ustalenia w swoim czasie na rok 1923 takiej wkładki, jakiej ówczesne stosunki wymagać będą. Wniosek ten Walne Zgromadzenie uchwaliło a referent stosownie do swej poprzedniej zapowiedzi wrócił do sprawy pokrycia potrzeb Towarzystwa i wydawnictwa Łowca do końca roku 1922 i do sprawy ogólnej poprawy finansów Towarzystwa. Oblicza, że zapas kasowy i spodziewany przychód ze ściągniętych zaległości wystarczałby zaledwie na wydanie trzech dalszych zeszytów Łowca i przedstawia, że sprawę finansową załatwić można w różnorodny sposób, a mianowicie: 1) możnaby odłączyć i w Małopolsce prenumeratę od

wkładki członkowskiej, a wtedy członek Towarzystwa musiałby za „Łowca“ płacić, dostawałby go wprawdzie po zniżonej cenie, ale zawsze płaciłby jak prenumerator, a dodając do tego wkładkę członkowską, płaciłby więcej jak zwykły prenumerator. Zachodziłaby jednak wtenczas obawa, by niejeden, źle sobie sprawę wykładając, nie wolał być tylko prenumeratorem „Łowca“, a starań o przyjęcie do Towarzystwa nie czynił. 2) Nałożyćby też mogło Walne Zgromadzenie daninę na właściciela i dzierżawców polowań, ci bowiem mają większą korzyść z Towarzystwa, którego działalność idzie też w tym kierunku by polowania gminne, z ich terenami sąsiadujące, nie dostawały się w niepowołane ręce. Danina jednak nie miałaby poparcia statutowego, a zachodziłaby wątpliwość, ile od kogo ściągać należy. 3) Możnaby też zdublować wkładkę na rok 1922, lecz ten środek sympatyczny nie jest ze względu na świeżo wpisanych członków, a nadto jest on takim, któryby wytworzył odrazu większe trudności w książkowaniu.

Jak widzimy, za wszystkiemi temi środkami przemawiają wprawdzie względy słuszności, lecz wszystkie one mają także swe ciemne strony, a wszystkie charakteryzuje przymus, może mniej uzasadniony w czasie kiedy ogół naszych łowców dla spraw Towarzystwa takie zainteresowanie okazuje, że można się spodziewać, że się nikt z nas przed dobrowolną, a stosunkom majątkowym każdego odpowiadającą ofiarę na rzecz tego Towarzystwa, tak przez nas umiłowanego, nie cofnie.

W tem przepuszczeniu i oznajmiając, że członek Towarzystwa p. Henryk Preck zrobił już początek ofiarując świeżo na potrzeby Towarzystwa hojnie kwotę 50.000 Mp., referent prosi Prezesa o przerwanie obrad na kwandrans czasu celem umożliwienia subskrypcji.

Przewodniczący zgodnie z prośbą referenta zarządził przerwę w obradach, a zainicjowana w ten sposób subskrypcja dała nasępujący wynik:

Ofiarowali, a w znacznej części natychmiast gotówkę do rąk skarbnika Towarzystwa, wpłacili:

1.	Zygmunt Streer	5.000 Mp
2.	Władysław Garapich	10.000 „
3.	Dr. Aleksander Ruczka	10.000 „
4.	Stanisław Orski	5.000 „
5.	Juliusz A. hr. Bielski	50.000 „
6.	Jakób Frey	1.000 „
7.	Stefan hr. Badeni	50.000 „
8.	Władysław Barański	25.000 „
9.	Józef Jabłonowski	25.000 „
10.	Dr. Tytus Vrabetz	20.000 „
11.	Adam Kapliński	40.000 „
12.	Bożydar Stachowski	2.000 „
13.	Edmund Kappy	10.000 „
14.	Włodzimierz Barański junior	30.000 „
15.	Albert Mniszek	5.000 „
16.	Edward Münter	5.000 „
17.	Kazimierz Marmaross	15.000 „
18.	Dr. Edward Zieliński	10.000 „
19.	Zdzisław Marmaross	15.000 „
20.	Stanisław Burzyński	5.000 „
21.	Eustachy Rylski	30.000 „
22.	Stanisław Prek	30.000 „
23.	Karol Wolenowski	2.000 „
24.	Zygmunt Łączyński	10.000 „
25.	Adam Ebenberger	5.000 „
26.	T-wo rac. polow. w Brzezinach	2.000 „
27.	Stanisław Pieńczykowski	5.000 „
28.	Aleksander Ulm	5.000 „
29.	Zbigniew Orzechowski	5.000 „
30.	Edward Rudziński	5.000 „
31.	Władysław Wesołowski	3.000 „
32.	Dr. Stanisław Łoboś	2.000 „
33.	Ordynat Czarkowski Golejewski	50.000 „
34.	Dr. Alfred Sander	5.000 „
	do przeniesiania	497.000 Mp
	z przeniesienia	497.000 Mp
35.	Stanisław hr. Mycielski	15.000 „
36.	Stanisław Jaśkiewicz	5.000 „
37.	Ksawery Struc	5.000 „
38.	Andrzej Jakubowicz	10.000 „
39.	Franciszek hr. Heydl	25.000 „
40.	Ludwik hr. Mycielski	5.000 „
41.	Tadeusz Sośnicki	5.000 „
42.	Aleksander hr. Zaleski	5.000 „
43.	Cyryl Czarkowski-Golejewski	20.000 „
44.	Tomisław Jędrzejowicz	15.000 „
45.	Dr. Witołd Ziembicki	5.000 „
	razem	612.000 Mp

do czego doliczając ofiarowaną tuż przed Walnem Zgromadzeniem przez H. Preka kwotę . . . . 50.000 „

otrzymujemy jako wynik subskrypcji kwotę . . . . **662.000 Mp**

Po podjęciu obrad na nowo, toczyła się żywa dyskusja nad referatem finansowym Wydziału. W szczególności Panowie Dr. Aleksander Ruczka i Dr. Edward Zieliński byli zdania, że mimo subskrypcji należy i na ten rok jeszcze znacznie wkładkę podwyższyć, zaś p. Edmund Kappy był zdania, że ze względów praktycznych na ten rok ją tylko zdublować należy, p. Stanisław Orski domagał się, aby w razie znaczniejszego podniesienia wkładki przyznać pewne ulgi członkom leśniczym i oficjalistom i by wogóle propagować idę przynależności do towarzystwa szerokich sfer. Wiceprezes, Albert Mniszek, wracając jeszcze raz do sprawy subskrypcji, zwraca uwagę, że jakkolwiek jest ona tak wydatną, to nie wolno zapominać, że subskrybowała na razie zaledwie może 30 ta część członków Towarzystwa. Jest niewątpliwem, że wobec ogólnego u członków, a żywego zainteresowania się sprawami Towarzystwa i przy należytej pracy Panów-delegatów, dobrowolne datki na cele Towarzystwa na tem się nie ograniczą, lecz obficie popłyną.

Postawioną przez mowcę rezolucję, iż Walne Zgromadzenie wzywa Panów delegatów do żywej agitacji między członkami za subskrypcją, w którym celu Wydział prześle delegatom arkusze subskrypcyjne, a nazwiska tak dzisiejszych jak i późniejszych ofiarodawców, w „Łowcu“ ogłosi — przyjęto, w następnem zaś głosowaniu nad wnioskami w sprawie podwyższenia wkładki, utrzymał się wniosek p. H. Preka, aby wobec faktu, że ostateczny wynik propagować się mającej dalej subskrypcji dobrowolnej nie jest oczywiście już teraz wiadomy, sprawę ewentualnego podniesienia wkładki jeszcze na ten rok powierzyć Wydziałowi, który w tym względzie poweźmie w swoim czasie uchwałę stosownie do wyników subskrypcji i uwzględniając tok dzisiejszej, nad sprawami finansowemi Towarzystwa, dyskusji.

(Ciąg dalszy sprawozdania z obrad, tudzież sprawozdanie z przemiowego strzelania, które, z przyczyn od Redakcji niezależnych, opóźniło się, umieszczone zostaną w następnym zeszycie).



ST. W. ORSKI.

Gody głuszcowe.

Otrzymawszy uprzejme zaproszenie Br. Groedla na „gotura“, zgłosiłem się 21. kwietnia w Demni Chcąc włożyć w te wysokie łowy więcej własnej inicjatywy, oraz rezultat, o ile jaki będzie, zawdzięczać w znacznej części własnym trudom i wysiłkom, prosiłem o wyznaczenie mi takiego rewiru, w którym dotąd goturów nie podchodzono i gdzie ich „oficjalnie“ niema, gdzie jednak służba leśna owych wirchowych pustelników czasem widywała i inne warunki za tem przemawiają, że być tam powinny. Uzyskawszy taki rewir, o 6-tej wieczorem wyruszyłem z Demni z 'gajowymi, niosącymi niezbędne rzeczy, piechotą, do dworku myśliwskiego w Z. Wychód od strony Demni początkowo idealny, od połowy drogi staje się nieco uciążliwszy i trudny, wskutek śniegów, leżących miejscami na 2—3 metrową wysokość. Gdzieniegdzie stąpamy po pochyłej równi śniegowej, pod którą gdzieś głęboko znajduje się wązka ścieżka t. zw. „reitsztok“ i potrzeba nieraz trzymać się dobrze „powietrza“, ażeby nie przemienić się w sanki z nieco szerszą kopanicą. Najgorzej — w pobliżu samego dworku, położonego na stoku pochyłym, poniżej szczytu, od strony Skolego, gdyż tu od grzbietu zwały śniegów, o zamarzniętej, wskutek przymrozku, skorupie, gdzieniegdzie z wiszarami, tworzą taką pochyłą równię, że oprócz nóg — do sztuki chodzenia trzeba użyć i rąk, a nieraz części ciała, przeznaczonej do siedzenia.

Mniej umiejętnie władający tą sztuką, jeden z moich pomocników, wraz z rzeczami zjeżdża i to dość gwałtownie i nieco za szybko z kilkadziesiąt metrów, a od dalszej przymusowej jazdy ratuje go po drodze napotkany sędziwy buk-staruszek. Po przezwyciężeniu tych trudności jesteśmy o 9·30 w dworku, schowanym w śniegach i zwisających wiszarach, tak dalece, że o kilkadziesiąt kroków odeń oddalony, zapytywałem gajowych, czy daleko do dworku.

O godzinie 3-ciej rano pierwszy rekonensans z podleśniczym do godziny 11-tej rano, bez wyniku, gdyż, oprócz jednego ściegu goturzych stopek, w formie krzyżyków i zielono-szarych po nim pamiątek, niczego nie spotkaliśmy.

O godzinie 2-giej po południu wychodzę w kierunku przeciwnym, zazwyczaj, wskutek niedostępności, przez turystów omijanym; idziemy grzbietem; poszarpane urwiska wygładził śnieg; gdzieniegdzie, o parę kroków od nas, wiszary, zwisające nad przepaścią i prostopadłą, kilkusetmetrową ścianą; w tem miejscu, połowa wirchu miała w dół runąć, przed kilkunastu laty.

Mimowoli człowiek ogląda się poza siebie, czy ma dość oparcia i podstawy dla swoich nóg.

Widok piękny, przez samą swoją grozę. Pod tą prostopadłą ścianą wzrok pada na zalesioną zbocz, a hen w oddali, szaro-błękitna wstęga Oporu odbija światło słoneczne i rozpyla je na strzałki i gwiazdki promienne. Obok jakby domki z kart, o lśniących złotem słonecznym ścianach; gdzieś w dali widać i pociąg, który, jakby mały, podłużny potworek przewija się swymi skrętami; wkrótce po nim tylko kłęby białego dymu zaścielają się jak opar, gdzieniegdzie przytulnie chronią się wzdłuż brzegów, lub wnikają w świerki i jodły. Widać stąd ostro odcinające się, w niebieskie ramy oprawione — szeregi blizkich i dalszych wirchów; spodem ciemne i sine, czuby białe, niby olbrzymy w białych kapturach, biel gdzieniegdzie różowa od promieni słońca, gdzieniegdzie niebieska, gdzie nie wnikną promieniste gońce. Sploty przeróżnych linji, czasem lekkofalistych, czasem ostro łamanych, kąpiące się w błękicie i złocie. Poza nimi wzrok pada na dalekie doliny, otulone jakby w mgłę opalową, zlewającą się z ginącym w oddali sklepieniem.

Schodzimy z grzbietu na zbocz między świerki i po kilkugodzinnych poszukiwaniach znajdujemy około 6-tej, na zboczy lekko falistej, poprzerywanej urwiskami, spadającymi do potoków, pośród starych świerków, całą, wyrysowaną na białym śniegu, opowieść zalotów goturzych. Otóż mamy nareszcie owo tak pożądane miejsce igrzysk i arenę wiośnianych godów głuszcowych!

Są... jakoby ściegi z większych krzyżyków, wzdłuż i w szerz prowadzące... odbicia wiośnianych rycerzy, są i mniejsze, subtelniejsze i mniej głębokie ściegi krzyżykowe... to stopki panieńskie. Są desenie krzyżykowe, koliste, obok nich, bokami, rowki, jak równe taśmy, okalające krzyżyki i czytasz: oto wirchowy pustelnik, jako bard wiośnianych porywów, głosząc swą miłosną pieśń, w samochwalstwie, wiódł swą postać otokiem w około wybranki.

Patrz! plamy rubinowe na białym tle śniegu! Krzyżyki motają się tu i kłębią, masz wgłębienia, śnieg świeżo zbity, lub rozrzucony, skopany!

Przeczytasz: „Walka na śmierć i życie!“ „W około areny zgromadzona i żądna wrażeń płeć nadobna — na arenie zmagania się dwóch rycerzy, stających ze sobą w szranki“. Lecą pióra. uderzenia sypią się jedne po drugich, czasem krew rubinem spadnie na biel śniegu, a w końcu „biada zwyciężonym“! pada stanowczy cios i zwyciężony, o ile zdolen, uchodzi, żegnany wzgardliwem spojrzeniem płci pięknej, by gdzieś w zacisznym ostępie, wśród urwisk, samotnie zginąć, lub, wypocząwszy, — z powrotem sił, gdzieindziej szczęścia próbować“. „Zwycięzca zaś, wśród surmy bojowej udaje się między dziewice, po laur i nagrodę“. Tak przynajmiej opowiadają owe ściegi, proste i koliste, owe rubiny na śnieżnej bieli.

Starannie obchodzimy pomiędzy świerki owe drżoyny ściegów. W jednem miejscu, w znacznem oddaleniu. zjeżdża ze świerku sam bohater dnia, a może i walki — na śnieg, po kilku chwilach zrywa się i szybuje lekko i nizko ponad nasze głowy, by osiąść znów na świerku, o kilkaset kroków oddalonym. O ileby chodziło o strzał, miałbym już głuszca, gdyż oddalenie nie wynosiło więcej, niż 20 m. Jednak nie strzeliłbym za nic w świecie, by nie psuć sobie poranku, na którego wynik dodatni prawie na pewne liczyć mogłem. Dlatego też, nie czekając na zapad wieczorny — z którego ciężko prawie zawsze wycofać się w ten sposób, by nie spłoszyć kur lub koguta, wycofujemy się i dochodzimy do małej polanki, na której, w oddaleniu 20 kroków od nas, zobaczyliśmy 3 kury. Skręcają one ku nam swe główki, jakby pytać miały: „co robisz tu, intruzie“? Po chwili i po wzajemnej obserwacji, „trzy boginie“ powoli przechodzą sobie między świerki, w kierunku owej areny. Idą pewnie na *randkę*, na linję A-B. Nielada kłopot będzie miał Parys-Gotur, gdy go zapytają: „któraż najpiękniejszą z nas“? Chyba sobie w ten sposób poradzi, że szepnie każdej z nich z osobna na uszko: tyś właśnie najpiękniejsza!

Wkrótce jesteśmy na grzbiecie i wracamy przy silnym przymrozku, jakby wśród zimy, po gładkiej powierzchni przymarzniętego śniegu, zaróżowionego ostatnimi promieniami słońca, obserwując stoki, urwiska i wiszary, jednego z największych szczytów.

Doszedłszy przy latarce do schroniska, układamy cały plan rannego podchodu.

Wśród lekkiej odwilży wychodzimy w nocy o 2·30 kierując się wzdłuż grzbietu, do polanki, na której spotkaliśmy kury — na miejscu jesteśmy przed 4-tą, posuwając się lekko pod wysokie świerki, w pobliżu spotkanej areny.

Przystanąwszy, wkrótce rozróżniam dokładnie odzywające się w pobliżu krektania, zrazu pojedyńcze, wkrótce takt ich przyśpiesza się i urywa, nie dającym się określić dźwiękiem, t. zw. głównym uderzeniem, po którym przychodzi szlif, jakby z kilku tonów złożony, przytłumiony świst, o wiele subtelniejszy jednak, jak przejmujący i jaskrawy szlif cietrzewi. Jednego mam blizko, dwa inne słyszę z prawej i lewej, w większem oddaleniu. Towarzysz mój ma

nieco przytępiony słuch, słyszy wprawdzie, ale składa to na karb dzięcioła, który, Bogu ducha winien, śpi jeszcze smacznie.

Nie oglądając się na mego towarzysza, z chwjlą przełamywania się nocy i wnikania w las owej pierwszej szarej poświetli, kilkakrotnie podbiegam w czasie szlifu.

Ale, czy mój wiośniany bard dotknięty jakąś newrozą, czy też przeczuwa, że to jego ostatnie pieśni, dość, że zmienia ciągle świerki i kiedy zdaje mi się, że tuż, tuż, będę pod świerkiem, już mi się znów z innego świerku odzywa — i zaczynając, jak ten dobosz, od pojedyńczych, powolnych uderzeń, wkrótce przechodzi jakby w grad uderzeń, czasem przerywa, nie kończąc pieśni — i znów gdzieindziej zaczyna „da capo“. Wpatrzony w gonne świerki, wsłuchany w górne tony wirchowego pustelnika, często, nie patrząc pod nogi, wyzyskuję chwile ekstazy pieśniarza, by go zejść bliżej. Wodzimy się po lesie „raz do koła“; ba, gdyby wszędzie było równo, ale znalazłem się raz na wiszarze, z którego, zobaczywszy na szczęście, na czem stoję, staram się znów wycofać. Straciłem całkiem świadomość otoczenia, nie wiedziałem, gdzie jestem, dokąd zmierzam i dojdę, ale byłbym szedł za nim bez końca. Biały dzień! — docieramy obaj aż do przykrej zboczy i w chwili, kiedy wzrok mój, słysząc ostatnie tony pieśni, wodzi się po świerkach, szukając go już w najbliższym promieniu otaczających drzew, słyszę za sobą psyknięcie; obrócony w pół, widzę w oddaleniu 100 kroków za mną podleśniczego i palec jego wskazujący, wytknięty w kierunku zbocza, śniegiem pokrytego.

Patrzę w kierunku palca i widzę gotura, który przed chwilą zjechał z świerka na pole, odemnie w dość znacznem oddaleniu, na śniegu, zmierzającego właśnie ku arenie tokowiskowej.

W ręku mam broń śrutową. towarzysz mój ma mego Mannlichera, ale o zbliżeniu naszem, podejściu i zmianie broni, mowy niema.

Głuszec przystaje, rozpuszcza wachlarz, spuszcza skrzydła i idzie z głową podniesioną, nastroszoną szyją...

Przyklęknąwszy za drzewem, ryzykuję strzał. Po strzale. gotur, podskoczywszy, podbiega z 5 kroków, przystaje, chwilę tę wyzyskuję na drugi strzał; zawraca i podbiega, trzepocąc skrzydłami, na zbocz, gdzie wciska się z ostatnim odruchem, pod leżący wywrót.

Podjąwszy zdobycz piękną, starego gotura, o niezwykłej i nienormalnej ilości 19 piór w wachlarzu, liczymy kroki i idziemy na miejsce pierwszego strzału. Tak po pierwszym, jak i drugim strzale, obfita farba, kroków 83. Gdybym przypuszczał taką odległość, zdaje się, nie byłbym się odważył na strzał śrutowy; jednak innego wyjścia nie było. Podchodziliśmy go od godziny 4·15 do 6·30 rano.

Często spotykałem się w niektórych dziełkach przyrodniczych, ze zdaniem, a także słyszałem od myśliwych, że głuszec, gdy dzień się zrobi, zlatuje i tok się kończy.

Jest to błędne zapatrywanie, owszem, głuszec tokuje po drzewach do rana, rano, zazwyczaj po 5-tej lub później, zjeżdża na śnieg i właśnie na śniegu rozpoczyna właściwy tok.

Widziałem głuszca, tokującego o godz. 8-mej rano na śniegu i wszystkie moje spostrzeżenia zbiegają się w tym kierunku, że właściwy tok odbywa się na ziemi.

Kto podchodził osadzonego na zapadzie głuszca, od pola toku nieraz znacznie oddalonego, ten rzeczywiście mógł być przekonany, nie śledząc go dalej, że z brzaskiem dnia zjechał i zaprzestał toku; ale zjechał on z pewnością na to pole, gdzie właściwy tok się odbywał, nieraz z walką między rywalami, oraz z kryciem kur.

Kto chce nietylko uprawiać sport, polegający czy to na celności strzału, czy na modnem poszukiwaniu niezwykłej zdobyczy (co jeszcze czemś mniej będzie, jak sportem, ale pod każdym względem odpowiedzieć warunkom i wymogom „wysokich łowów“, tak pod względem obserwacji, gromadzenia spostrzeżeń, jak i ukochania przyrody z jej wszystkiemi przejawami, zjawiskami i cudami), niech nie zdaje się na obcą pomoc, jaką w tym wypadku w wysokich łowach na głuszca będzie jego osadzenie, ale niech poświęci kilka godzin, lub jeden dzień i niech poszuka za polem toków, niech przeczyta sobie z owych pól śnieżnych całą opowieść zalotów i godów i wtedy przed brzaskiem dnia do tych pól, niech się zbliży (byle nie za blizko), a będzie miał nietylko wielkie użycie, słysząc i to nie jedną pieśń od nocy do brzasku, ale za dnia będzie widział właściwy tok, który usuwa się z pod spostrzeżeń myśliwych, o brzasku słuchających osadzone na świerkach koguty.

O godz. 9-tej, po wypoczynku, opuszczamy gościnne ściany wygodnego dworku myśliwskiego, ze złomkiem jedliny i miłym wspomnieniem niezwykłych chwil, „wysoko“ przeżytych.

A zate „wysokie“ chwile właścicielowi Br. Ryszardowi Groedlowi serdeczna podzięka — taksamo i Dyrekcji, oraz inspektorowi Kholowi, za wszelkie ułatwienia i gościnność.

Stryj, w maju, 1922.



DR. ALEKS. RUCZKA.

Lipiec.

Słońce powoli schodzi z południa.

Chyli się olśniewające ognisko coraz niżej nad poszarpaną. w nieregularne zręby wyciętą, w dal biegnącą wstęgę granatowo zielonego aksamitu koron staroboru sosnowego, zachodzącą w górze zębami w niezapominajkowy atłas nieba, dołem podpartą pionowem zszeregowaniu niezliczonych strzelistych pni o połysku złota, a barwie miedzi.

Oto zstępuje nad zieloność koron.

Przekrada się pękami, smugami promieni pomiędzy kiście szpilkowia, traci w przelocie miedziane błyski na skrętach gałęzi, kładzie się cicho strzałami płomiennej zieloności na twardym, skórzastym podroście z borówek.

Jaki taki pęk trafi na szerokie, zielone serce — liść lipki tu zabłąkanej, lub olchy i wytłacza z nich lśniące plamy słodkawego potu.

Z tęgich, grubo żebrowanych ciemno-zielonych liści olszyny, zanosi ostrym korzennym zapachem.

Już czas. Jednak cisza upału leży jeszcze nieruchomo i na lesie i na olbrzymiej płachcie łąki, bijącej olśniewającą zielonością. Bije od niej jaskrawość jakaś nużąca jednostajność blasku, jednostajna, jak sam upał i wywabia ze zmęczonego oka całe różańce i szeregi w pustej przestrzeni pływających paciorków.

Jakby uczucie nudy i zmęczenia wśród długich marszów w żarze słońca, po bezkresnych, wapiennym pyłem zasutych gościńcach. I znowu zmiana.

W załamanie pomiędzy ścianę boru a łąkę, spływa stopniowo jakieś wilgotne, prawie słyszalne tchnienie, wsuwa się jakiś duch i wsącza w rurki roślin jakiś tajemny fluid, niosąc orzeźwienie obwisłej, upałem zgłuszonej, roślinności.

Delikatne listki tu i ówdzie rozsianej brzeziny, nabierają tęgości, jakby się pod wpływem raźniej krążącej ciszy żywotnej, prostowały.

Ledwie widoczne drżenie przebiegło po liściach samotnej osiki.

Z gąszczu bladoniebiesklej mgły podróżników, pomknął w łąkę tanecznym lotem swych jaskółczych skrzydeł żeglarek, jakby chciał z nich strzepnąć razem z upałem cudowny pyłek z cytrynowego wachlarza, tkanego misternym deseniem szafiru. Zaledwie dosłyszalny szelest, jak lekkie rozchylenie ostrej krzemienistej trawy i oto ruchoma, spiralna klinga zaskrońca, znaczona u głowy dwoma plamami pomarańczy, wynurzyła się z ziela.

Z wysokości korony osiki, z początku w dłuższych przerwach, potem już raz po raz spada, jak ciężkte krople miodu, słodki gwizd wilgi, przeplatany rytmicznie niespodzianem, ni to sojczem ni to srokoszowem skrzeczeniem. A jednak oba te, tak różne głosy, z jednej piersi i w jednej pieśni dobyte.

Opodal chwieje się gałązka pod ciężarem turkawki, wyrzucające strofami tur turtur, w krótkich odstępach, z muskularnej piersi. Chwyciła jeszcze na swój naszyjnik garść smutnem ubóstwem barwy przy boku spłachcia, utkanego czerwienią centurji.

Stopniowo rozświetla się przeciwległe okole sosnowe łąki, wybłyskując barwą lśniącej zieloności, koloru pokrzyw skrzydłowych kruszczycy.

Wtem nagle — cóż to?

Krótki, ochrypły głos – szczeknięcie nizkie, urwane, uderzenie silnej fali powietrza o struny głosowe, w długiej piszczale tchawicy.

Drugie, trzecie, czwarte. Dochodzi ochrypłem echemtchnieniem z tajni boru, podszytego gąszczem zielenią kruszyny, zasutego wilgotnym ciepłym oparem drzemiących w czarnym cieniu wykrotów bagienek i cicho, leniwie płynących czarnych poników.

Krótkie to wezwanie, przebudzonego z miłych snów, wśród rozkoszy trawienia, zdala od natrętnych much i gzów, kawalera soczystych zrębów i bujnych łąk leśnych.

Powoli uniósł się na przednie kolanka, lekko podsunął muskularny zad i oto stoi przepyszny w swej wytwor



promieni i oto grają w czarnych, metalicznie lśniących klingach piórek ujętych w srebrzysto-białe obrączki. I już druga, stulonymi skłydłami ślizgając się po lekko wygiętej linji lotu, z cichem kilkakrotnie powtarzanem dwyt-dwyt, spłynęła obok pierwszej, na gałąź.

W ślad za światem roślinnym i świat zwierzęcy prostuje zwolna członki, zrzucając ciężkie jarzmo upału. Stopniowo, jeden po drugim, odzywać się zaczynają, pierzaci śpiewacy i coraz donośniej witają łagodność zstępująęego wieczoru.

Skośne promienie słońca sieką jeszcze wprawdzie zielony płat łąki, ale cień, spływający od boru, coraz bardziej wjada się w słoneczną zieleń i tka w niej wyraźniejsze wzory. Tu i tam znaczyć się poczynają ciemną, soczystą zielonością, bujniejsze kępy traw, przypadkiem lepiej pożywieniem zasilone.

Na bagienkach odcina się jadowita zieloność, nieregularnymi płatami krótkiej, jasnej trawki, bez żadnej przymieszki i rozmaitości barw.

Na suchych, torfiastych wzniesieniach, piaskowo-szara płachta, zetlałej od słońca, włosiastej „psiej trawki", razi nej piękności, na suchych, silnych, jak pręty stalowe nogachbadylach. Przeciągnął się raz i drugi łagodnem wygięciem grzbietu. Wstrząsł kilkakrotnie krótką, w prostych, klasycznych linjach zarysowaną głową, zdobną w brunatnoczarną, perłami suto sadzoną koronę szóstaka.

Stoi jak posąg z matowej miedzi.

Wielkie czarne, lekko wypukłe słodkie oczy, z podcienia długich, czarnych rzęs, rozumnie i szczegółowo przenikają drobno splątaną sieć gęstej kruszyny.

Uszy-łyżki nagłymi, rzadko widzialnymi ruchami podnoszą się na sobie tylko słyszalne szmery ; w czarne, zimne, wilgotne nozdrza, chwyta chciwie i głęboko, sobie tylko wyczuwalne, wonie. Wreszcie, zadowolony wynikiem zwiadów, zrobiwszy ostatnie poprawki w swym stroju, sunie lekkim, giętkim ruchem, omijając wszelkie kłopotliwe miejsca, ku łące.

Snują mu się w głowie rozkoszne smaki groszków i młodej koniczyny.

Jakaś domieszka niewyraźnego, smętnego i trwożnego uczucia psuje mu czasem spokojne zadowolenie smakosza.

Od kilku dni przyplątało się jakieś niepokojące przeczucie trwożnie mile — dawno znane, a co roku nowe.

Jakieś nieuchwytne wspomnienie z roku na rok w tej samej porze nadchodzące, po okwicie koniczyny zwolna kiełkować poczyna — raz później, raz wcześniej, od czasu, kiedy nasadził pierwsze rożki na głowie. Och, jakież one były wtedy śmiesznie małe, cienkie, pojedyńcze, zgniłoszarego koloru. A przecież napełniły go taką dumą, takiem wysokiem pojęciem o swej ważności! Jakieś uczucie męstwa, jakiejś buty, silne postanowienie użycia swej broni-ozdoby, rozdymało mu piersi. Ale te wszystkie uczucla i przeczucia, narazie nie skrystalizowane. niepewne i niewyraźne, przytłoczone były ogromem pożądań smakowych, jak ta wątła kruszyna — przemocą rozpiętych nad nią koron sosnowych.

Nad bagienkami poczyna przestrzeń powoli, stopniowo mętnieć.

Wywijają się z niej smugi dymów-mgieł coraz wyraźniej odcinając głęboką zieleń koron, od złoto miedzianych podpór.

Nagle, z niedalekiej, błękitnej mgły-podróżników, wykwitły trzy rudawe, podłużne plamy. Suną w łagodnem, rozpylonem świetle, powoli przybierając coraz bardziej określone kszałty podłużnych wałków. Ciągną powoli, z ukosa, pod wiatr. Już można rozeznać długie, rudawe szyje, raz po raz czerpiące w zielonym jeziorze traw.

Nagle stanęły nieruchomo. Wyciągnęły, jak sztandary, wzniesione czerpaki — krótka chwila skamienienia. Przedni kształt podbiega o pół staja wolnym truchtem. Krótka, a chciwa praca czarnych chrapek. Niemy sygnał i w szalonym cwale wali całe stadko w las, zostawiając po sobie głuchy tupot racic, po twardym gruncie i trzask suchych gałązek, w zbawczym lesie. Niebieskawe cienie coraz szerszą, coraz gęstszą posnową zasuwają się w łąkę.

Już od dobrej chwili sączy się w ucho natrętny, monotonny, myśliwemu tak dobrze znany, żebrzący, jak skarga, słabej, pokrzywdzonej istotki — brzęk.

Raz koło ucha, to znowu od strony szyi, to od policzka. Delikatne muśnięcia, próby założenia krwiożerczej cewki, wreszcie zgarbiona, na cienkich nóżkach osadzona piramidka komara, sadowi się na ręce, sądując długą swą ssawką skórę.

Wtem, ponad wszystko słyszalny lekki trzask złamanej, suchej gałązki, od lewa, od spodziewanej strony. Oddech zamiera.

Zwolnione, ale stokrotnie wzmożone uderzenia tętna, wyczuwalne w skroniach, słyszalne lekkim, rytmicznym podmuchem w gardle. Prawa dłoń, obejmująca drewnianą szyję broni, potnieje.

Z lewej ręki, tuż nad przegubem palca wielkiego, spokojnie pompuje krew w czerwieniejący odwłok.

Jeszcze jeden blizki chrupot gałązki, lekki szelest-podmuch, szmer ciała, ocierającego się o gęste gałązki kruszyny i oto na skraju łąki stoi przepyszny, strojny kawaler soczystych zrębów.

Przednie, suche badyle, toną do kolanek w trawie. Ku górze rozkwitają w trójkątny kielich łopatki, wiążąc go ku przodowi w wygięty, wyniosły łuk karku, muskularny zad dotyka ciemnej ściany kruszyny. Nieznacznie, z jakąś zimną zawziętością, chyli się czarny wąż lufy, przecięty poprzecznym schodkiem, ku środkowi otwartego kielicha łopatki. Na prawym policzku uczucie gładkiej, zimnej płaszczyzny. Świecący punkt muszki miga jakiś czas ponad wycięciem poprzecznego schowka, szukając na mgnienie oka stałego oparcia. Znalazł. Suchy trzask — grom runął w głąb boru, toczy się nizko nad łąką. Rogacz rozpacznym skokiem, ze wszystkich sił, z wysoko podniesionym przodem, strzelił w głąb łąki.

Tępe, prawie niebolesne uczucie w boku.

Nieugaszone pragnienie powietrza, uciekającego gdzieś jak przez beczkę Danaid w pustą głąb. Słonawy, lepki smak w gardle.

Jeszcze jeden, ostatni, z całej mocy wysiłek w skok, jeszcze jeden słaby, już obojętny.

Zamęt w głowie, jakiś zielony szum, łąka huśta się, jak wichrem rozkołysane jezioro.

Uczucie zapadania się w sobie samym i ziemię; i oto leży na zieleni traw, utkanych w ciekawe, promieniste oczy rumianków, wybłyskujące z mroku. Lekkie drżenie przebiega wzdłuż cudnej rzeźby mięśni.

Oko duże, czarne, bezdennie smutne, bez skargi, odbija mętnie sierpek ciekawego, z nad lasu, księżyca.

Pomiędzy zmierzchłymi koronami sosen garną cicho swemi błonami-skrzydłami, letnią przestrzeń, pierwsze nietoperze...



A. RADCLYFFE DUGMORE.

Z obcych światów.

Dzieje jednej nocy.*)

Gdyśmy przez lwy nadpoczętą antylopę odkryli, było już około południa, czas więc bardzo naglił, gdyż przed nocą trzeba było do fotografowania wszystko przygotować, a znajdowaliśmy się od naszego obozu o dobre pięć kilometrów. Trzeba było tu przynieść cały fotograficzny nasz dobytek, przygotować budkę i aparaty do nocnej pracy, wpadliśmy więc, jak wicher, do obozu, zjedliśmy na prędce obiad i wkrótce byliśmy znów przy ścierwie. Ustawiliśmy trzy kamery w jednej linji, w oddaleniu trzech metrów jednej od drugiej, a 9 metrów od ścierwa. Kamery połączyliśmy z błyskawiczną lampą. W budce, która stała o 10 metrów od ścierwa, mieliśmy w zapasie dwie kamery i jedną lampę, na wypadek, gdyby tamte urządzenia posłuszeństwa odmówiły, lub gdyby lwy, po pierwszem zdjęciu, zatrzymać się jeszcze miały.

O godzinie 6-tej było wszystko gotowe. Nasi czarni chłopcy przynieśli nam właśnie upragniony gorąco i dobrze przez nas zasłużony, wieczorny posiłek. Po spożyciu go, wcisnęliśmy się, mój towarzysz i ja, do budki, założyliśmy wejście gałęziami i zasiedliśmy, popijając jeszcze czarną kawę i paląc fajeczki. Ledwie żeśmy byli z tem gotowa już zmrok szybko zapadać począł i ogarnęła nas noc — i wkrótce usłyszeliśmy cichy szmer w trawie, w kierunku leżącej antylopy i spostrzegliśmy słabo zarysowujący się na tle trawy cień jeden, drugi i trzeci.

Były to lwy, bezwątpienia, a mieć ich trzy w nocy, na odległość 10 metrów od siebie, było rzeczą, prawdę powiedziawszy, zanadto drażliwą! Noc była tak ciemną, że w cieniach drzew, ledwie z wielkim wysiłkiem, cośkolwiek zobaczyć się dawało. Lwy, z tłem trawy, zlewały się razem, tak, że nie widziało się, gdzie się one znajdują. Więcej słuchem, niż wzrokiem kierowani, uświadamialiśmy sobie, gdzie się zwierzęta w danej chwili znajdują. Dwa były już przy ścierwie, trzeci stał z boku. Słychać już było trzeszczenie kości w potężnych paszczach. Przez chwilę miałem

*) Urywek z dzieła p. t. „W dzikich stepach i borach Afryki środkowej, z bronią i kamerą“. Autor, znany przyrodnik i myśliwy, opisuje barwnem piórem emocji pełne przygody w spotkaniach z gruboskurcami i drapieżcami. Celem opisanej podróży było fotografowanie zwierząt na wolności, użycie zaś broni palnej było tylko ostatecznym środkiem ratunku w niebezpieczeństwie życia.

wrażenie, że lwy odciągają swą zdobycz, by ją pożreć w innem miejscu. To byłoby fatalne dla naszych zdjęć! Chcąc się przekonać, jak rzeczy stoją, zaświeciłem moją kieszonkową latarkę i przekonałem się, że to rzeczywiście trzy lwy były, ale tylko jeden z nich stał dość blizko dla zdjęcia. Była to lwica. Gdy ją oświeciła moja latarka, zabłysły jej ślepia, jak dwa djamenty. Wspaniałym tym widokiem byłem tak oszołomiony i podniecony, że nie myślałem w tej chwili, by zapalić błyskawiczną lampę. Lecz oprzytomniałem szybko, wiedząc, na co nas narażam i przycisnąłem guzik. Z hukiem wystrzału zabłysła błyskawica i zalała scenę nienaturalnem, błękitnem światłem, zastąpiona momentalnie straszną, czarną nocą. Odezwało się przed nami potężne i groźne wycie, którem, uciekające w popłochu lwy, znaczyły przez kilka chwil swe niezadowolenie. Wreszcie nastała bezwzględna cisza.

Najbliższem zadaniem naszem teraz było ponowne naładowanie lampy błyskawicznej i nastawienie kamer. Pytaliśmy siebie, kiedy to robić. Czy zaraz, póki lwy z przestrachu nie ochłoną, czy poczekać, aż całkiem się oddalą? Zdecydowaliśmy, natychmiast brać się do dzieła, gdyż suponowaliśmy, że okładając je, tem pewniej narazimy się na spotkanie z powracającemi bestjami, a taka ewentualność wcale się nam nie uśmiechała. Wyleźliśmy więc nie bez wstrętu z naszego ukrycia i w przeciągu niedługiegu czasu wszystkie kamery i lampa błyskawiczna czekały znów na przyjęcie gości, a my z uczuciem wielkiej ulgi zasiedliśmy znów w budce.

Dwie godziny panowała cisza, przerywana tylko od czasu do czasu rykiem lwa i dalekiem szczekaniem zebry. Mój towarzysz spał, ja czuwałem na straży. O godz. 9-tej usłyszałem szmer zbliżania się jakiegoś zwierza. Zbudziłem towarzysza, by we dwóch być gotowym na każdą ewentualność. Wkrótce dojrzeliśmy lwicę, która ostrożnie skradała się do ścierwa. Gdy mi się zdawało, że już się znajduje na właściwem miejscu, przycisnąłem guzik. Błyskawica oświeciła lwicę, gdy stała na połeć, na 10 mtr odległości i sposobem kocim wygięta, zabierała się do uczty. Było to, jak się przekonałem później, jedno z najlepszych moich zdjęć fotograficznych z lwów. Lwica jednym skokiem uciekła, groźnym pomrukiem znacząc swój gniew.

Licząc na porządny strach, jakiśmy zwierzęciu napędzili, wyleźliśmy znów z budki z gotową bronią i latarkami i ponownie doprowadziliśmy nasze aparaty do porządku bez wypadku. Siedząc w budzie, długo znów nie mieliśmy gości, lwy tylko ryczały w koło nas nieprzerwanie. Widocznie byliśmy w dobrym lwim rewirze, gdyż, według ryku, obliczaliśmy w promieniu pół kilometra od nas, conajmniej 12 sztuk.

Gdyśmy o godz. 2-giej straż zmieniać chcieli — byłem bardzo wyczerpany i śpiący — usłyszeliśmy znów kroki zwierząt na suchej trawie, zdążające w kierunku naszym. Ujrzeć coś. było niemożliwe. W tem rozległ się groźny pomruk lwów, który nas obu dreszczem przeszedł. Jest coś wprost niesamowitego słyszeć lwa na 15 mtr od siebie bez możliwości ujrzenia go! Wreszcie oko nasze rozróżniać mogło trzy cienie..: były to znów lwy. Stały na wysokim brzegu nad ścierwem, chodziły, znikały nam z oczu, znów się ukazywały, nie przestając mruczeć i porykiwać. Widocznem było, że zdają sobie sprawę z naszej obecności, która im bardzo nie na rękę. Aby położenie nasze uczynić jeszcze więcej emocjonującem, zjawia się w tej chwili czwarty lew i to za naszymi plecami. I ten mruczy, zbliża się do nas, to oddala, a raz na metę 3-ech metrów przechodzi koło nas. Napięcie naszych nerwów przechodzi wszelkie granice! Położenie nasze było wprost straszne.

Lwy robiły wrażenie niezdecydowane, jakby przemyśliwały, czy mają nas zaatakować, czy zaspokoić głód. Po długiej i przykrej pauzie, zeskoczyła jedna sztuka z brzegu do ścierwa. Oświeciłem ją kieszonkową latarką, a przekonawszy się, że w dobrem znajduje się miejscu, była to znowu lwica, przycisnąłem guzik. Wystrzał błyskawicznego światła, wskutek napięcia naszych nerwów, przestraszył nas swym hukiem, a lwy tym razem, zamiast uchodzić, powoli wycofywały się ze sceny, groźnie mrucząc i porykując. Co się działo z lwem za naszymi plecami, nie mieliśmy pojęcia, stwierdziliśmy tylko, że wystrzał błyskawicznego światła nakazał mu milczenie.

Gdyśmy po pierwszem zdjęciu na początku nocy już pod pewnym przymusem opuszczali nasze warunkowo zabezpieczone ukrycia, zrozumiałem będzie, że po przeżyciu ostatniej godziny obawialiśmy się wyjść teraz z budki. Zachowanie się lwów było wprost groźne, a obecność czterech sztuk w pobliżu dawała nam do namysłu, czy porzucić zamiar dalszych zdjęć, czy narażać się znów na niebezpieczeństwo, bo, że ono nam groziło, nie było wątpliwości. Lwy były widocznie wściekłe, a jeżeliby nas napadły, to nasza obrona przeciw kilku, prawie niewidzialnym bestjom, byłaby bardzo trudna. Po naradzie, przyszliśmy do przekonania, że podobna sposobność do fotografowania chyba się nam w życiu nie zdarzy — i trzęsąc się wprost ze strachu, wyleźliśmy z budki. Okropna, nieprzebyta ciemność wokoło! Słabe światełka naszych latarek, któremi oświecaliśmy sobie najbliższe nas miejsca, zdawały się jeszcze powiększać grozę położenia. Ryk lwów grzmiał ze wszystkich stron. Uczucie przejmujące demoniczną grozą! I znów za chwil kilka, takich, jakie czasem starczą za wieczność, kamery nasze i lampa, były gotowe, a my napowrót w budce!

I znowu dwie godzin oczekiwania na naszych gości. Dwie godzin spokoju, ale nie ciszy! W koło nas rozbrzmiewał nieprzerywany ani na chwilę ryk lwów! Było w nim tyle potęgi i przejmującej grozy, że nerwy nasze pozostawały wciąż w najwyższem napięciu! Nagle ryk ucichł w najbliższem naszem otoczeniu, a równocześnie ujrzeliśmy dwa cienie, wprost ku nam się skradające. Ta nagła cisza, zamiast nas uspokoić, podziałała na nas jak prąd elektryczny. Wiadomo, że lew, mający zamiar wykonania napadu, zawsze cicho się zachowuje. Instynktownie chwyciliśmy za nasze sztućce i byli w pogotowiu do strzału, również ciężko-kalibrowy rewolwer miałem przy sobie, w razie potrzeby stoczenia walki oko w oko. Minęło tak wiele sekund, sekund strasznych, niepewności pełnych, długich, jak godziny... Cisza tylko działająca przygniatająco... Oba cienie stały tak cicho, jak skamieniałe, jak to drzewo, pod którem się znajdowały... Czy mieliśmy do nich strzelać, aby raz przeciąć węzeł tej druzgoczącej niepewności? Przy słabem świetle byłoby trafienie lwa przypadkiem, a strzały mogłyby właśnie sprowadzić atak.. Nagle szmer słychać... i obie bestje zeskakują z brzegu wprost w naszym kierunku. Chwila byla poważną! Byliśmy pewni, że atakują... Lwy jednak przebiegły tylko na pięć metrów od nas łożyskiem strumyka i znikły nam z oczu, tym razem na zawsze.

Straszna noc miała się ku końcowi. Z jakiem uczuciem ulgi witaliśmy ten wspaniały tropiczny wschód słońca! Kto sam takich nocy nie zaznał, mieć pojęcia nie może, do jakich granic napięcia nerwy ludzkie dojść mogą. Zasiadka na lwa, jako myśliwska, w celu ubicia go tylko, nie sprawia tylu wrażeń, gdyż rozwiązanie akcji postępuje szybko. Lew przychodzi, strzela się, chybia się go, rani lub zabija. Rzecz kończy się dobrze lub źle, ale trwa chwilę. Gdy chodzi jednak o zdjęcia, trzeba wielkiej cierpliwości i zaparcia się siebie, trzeba żelaznych nerwów, by wytrzymywały, takie, jak tu opisane, wrażenia i to całemi godzinami. A strzelać nie można nawet do zwierząt już sfotografowanych, gdyż z hukiem strzału niknie nadzieja na sposobność do dalszych zdjęć.

Najrozmaitsze przygody, jakie miałem w Afryce w spotkaniu z potężnymi władcami dżungli, nie wyjdą mi nigdy z pamięci, ta jednak noc, z 21. maja 1912 zapisała się w mej duszy zgłoskami z rozpalonego żelaza.

Powróciwszy do obozu, mimo zmęczenia, wzięliśmy się natychmiast do klisz. Nikt nie opisze naszej radości, gdy negatywa po negatywie ostro i jasno występowała —

i wszystkie dziesięć płyt dały nam rezultat wprost nieoczekiwany *)

Za nasze trudy, królewska nas spotkała nagroda.

*) W dziele Dugmora widzimy, przy powyżej cytowanym tu ustępie, pięć pysznych fotografji lwicy w rozmaitych pozach, zdejmowanych z najbliższej mety.



Zestawienie ilości dzików ubitych we wschodniej Małopolsce w sezonie 1921|1922.

Słysząc o rozmaitych świetnych rezultatach polowań na dziki w ubiegłym sezonie, zapragnąłem mieć zestawienie tychże, niezwykle dla nas wszystkich interesujące. Na kartki rozpisane w tym celu do delegatów niestety nie wszyscy odpowiedzieli, lecz odpisała większość, za co serdeczne składam podziękowanie i na skutek czego mogę podać, ile dzików padło w 36-ciu powiatach — z pozostałych 14-stu powiatów może kogoś jeszcze z delegatów sumienie ruszy w kierunku uzupełnienia mojej statystyki:

Rawa ruska	90
Buczacz	87
Sokal	70
Gródek jagielloński	69
Rohatyn	53
Jaworów	35
Bohorodczany	33
Przemyśl	32
Horodenka	32
Sambor	31
Drohobycz	29
Podhajce	28
Kałusz	27
Tłumacz	23
Bóbrka	22
Mościska	21
Zborów	20
Brody	20
Dolina	20
Brzeżany	19
Radziechów	19
Borszczów	16
Żółkiew	16
Kamionka strumiłowa	12
Nadwórna	8
Złoczów	8
Stryj	7
Kosów	7
Dobromil	6
Lisko	5
Stanisławów	5
Husiatyn	4
Kołomyja	1
Skałat	—
Tarnopol	—
Rudki	12
Razem	887 dzików.

Doliczając do tego dziki ubite w 14-tu powiatach nie zgłoszonych możemy śmiało liczyć, że w 49-ciu powiatach na wschód od Sanu padło w ubiegłym sezonie z górą 1000. Cyfra to pod każdym względem pokaźna. Zastanówmy się np. nad względem aprowizacyjnym, bo minimalna tylko cząstka wielomiljonowej ludności uznaje względy rozkoszy łowieckich. 1000 dzików przedstawia wagę około 80.000 kg., wartość tegoroczną około 12 miljonów, wagę samego mięsa około 50.000 kg. A jaką to wartość zarobków różnych warstw i zawodów ludności przedstawia, zanim rozkład ten stał się faktem!

Tylko wschodnią Małopolskę uwzględniłem, wychodząc ze założenia, że na zachodzie bardzo niewiele jest w zwierza czarnego zasobnych powiatów.

C. C. G.



DR. J. KALM-PODOSKI.

O psach rasowych i rasach psów.

(Ciąg dalszy).

Autorowie łacińscy rozróżniali trzy kategorje psów myśliwskich: „sagaces“, „fortes“, celeres“, t. zw. mądre, mocne i szybkie. „Szybkie“, to nasze charty dzisiejsze, „mocne“ były używane do walki z najgrubszym zwierzem, „mądre“ zaś, do tropienia i innych potrzeb myśliwstwa i te ostatnie należy uważać za właściwych protoplastów ras myśliwskich. Rzymianie sprowadzali przeważnie psy myśliwskie z Germanji i Bretanji.

Germanie byli najbardziej łowieckim narodem w starożytności i przez nich i z nimi łowiectwo do innych krajów się dostało.

Chociaż w każdym kraju rasy psów myśliwskich samodzielnie się rozwijały, to przecież pewna równoległość w tym rozwoju daje się skonstatować, a to głównie dla tego, że metody łowieckie, przynajmniej w środkowej Europie, były wszędzie mniejwięcej tesame.

Polowanie było przywilejem królów i książąt i przez nich wyjątkowo, jako przywilej, było nadawane wasalom.

Aż do ogólnego wprowadzenia broni palnej do łowiectwa, co w początkach XVIII wieku nastąpiło, polowanie odbywało się w ogólnych zarysach.

Specjalnymi psami: tropowcami („Lymer“, „Limier“, „Leithund“) i gończymi, tropiono i gnano zwierzynę do odpowiedniej zagrody lub sieci, gdzie duże psy (dogi) — nieraz opancerzone — ją osaczały, poczem myśliwy oszczepem lub mieczem ją zabijał, albo też puszczano ją na wolne pole, gdzie myśliwi, na koniach, z psami, „par force“ („Laufhunde“) albo chartami, już na nią czekali.

Na drobną zwierzynę, a szczególnie na ptactwo, polowano już w X w. z sokołem. Zwyczaj ten pochodzi ze wschodu i już to przez krzyżowców, już przez Maurów z Hiszpanji dostał się najpierw do Francji, a stąd do innych krajów. Francja wogóle aż do połowy XVIII w. była mia-

rodajną w modach łowieckich i nawet Anglja się do mody francuskiej długo stosowała. Od połowy XVIII w. jednak, a szczególnie od wielkiej rewolucji, która łowiectwu w Francji pierwszy, wielki cios zadała, wpływ francuski zupełnie ustał, natomiast Anglja zaczęła ton nadawać i rozpanoszyła się w całej Europie t. zw. anglomanja.

Do polowania z sokołem używano, dla wytropienia zwierzyny, psów legawych, które sprowadzano z Hiszpanji, albo też tropowców i gończych, specjalnie tresowanych.

Z wprowadzeniem broni palnej i jej stopniowem udoskonaleniem, metody powyższe się zmieniały i nowe powstawały. Dogi z czasem wyszły zupełnie z użytku, zato tropowiec i jego młodszy brat gończy, albo ogar, coraz to nowe zadania musiały wypełniać.

Ci stali się protoplastami wszystkich ras psów myśliwskich krótkowłosych, podczas gdy długowłose, podobno od spanielów, z Hiszpanji sprowadzanych, pochodzą.

Jest to jednak tylko hypoteza, oparta na studjach anatomicznych i nowoczesnych doświadczeniach hodowlanych. Wówczas hodował każdy sam swoje psy, mieszając i krzyżując, jak mu się zachciało, a kynologja, przed niespełna stu laty powstała, objęła gotowy już materjał, którego uporządkowaniem i dalszym rozwojem dopiero się zajęła.

Uwzględniając dzisiejsze metody myśliwskie, dzielimy psy myśliwskie na następujące kategorje:

1. farbowce, 2. psy goniące, („jagende Hunde“), a te znowu na *a)* psy „par force“ i *b)* gończe, 3. Other hound, 4. jamniki, 5, psy legawe, 6. spaniele, 7. retrievery i 8. charty.



Szkice z Wystawy łowieckiej.

I. Wrażenie ogólne.

Wystawę, jakąśmy w dniach od 23. do 26. czewca b. r. w salach Związku art. p. we Lwowie oglądali, jeżeli chodzi o ścisłość, nie możemy nazwać „łowiecką“, gdyż taka musi obejmować wszystkie działy łowiectwa, a tych jest sporo, gdy tymczasem ta, reprezentująca tylko trofea, była wystawą trofeów myśliwskich.

W dzisiejszych warunkach urządzenie pełnej wystawy łowieckiej leży jeszcze poza granicami wykonalności. Niemożliwem byłoby obesłanie wszystkich działów gospodarstwa łowieckiego. Jak dzisiaj przedstawić statystykę łowiecką, przemysł, chodowlę? Po wielkich wstrząśnieniach politycznych, po tylu inwazjach i zniszczeniach w kraju, łowiectwo nasze z upadku dopiero powoli dźwigać się zaczyna i wielu lat pracy potrzeba będzie, by doszło ono do takiego rozkwitu, aby na pełnej wystawie godnie światu zaprezentować się mogło.

Myślą przewodnią Wydziału M. T. Ł. w urządzeniu wspomnianej wystawy było:

W chwilach obecnych odradzania się łowiectwa naszego, przypomnieć je światu i zainteresować niem szerszy inteligentny ogół.

Wglądnąć w obecną kulturę łowiecką i porównać ją z przedwojenną.

Zrzeszyć i zbliżyć między sobą brać łowiecką choć przez kilka dni pod głównym krajowym sztandarem i zapoznać ją z wspólnem dobrem łowieckiem, z tem co mieliśmy i mamy, pouczyć ją wreszcie, co mieć znów możemy w naszych rewirach, jeżeli polować będziemy racjonalnie, szanując prawa i hołdując etyce łowieckiej.

I z radością zaznaczyć tu możemy, że cele powyższe osiągnięte zostały w zupełności. Wystawa obesłaną została należycie, sale jej zapełniły się bardzo doborowymi okazami, a zainteresowanie się nią ogółu było wiekie, jeżeli mimo słabej reklamy i innych równoczesnych atrakcji jak n. p. zlot sokoli, zwiedziło wystawę zwyż 1.500 osób. Między zwiedzającymi, widzieliśmy przedstawicieli wszystkich sfer towarzyskich i zawodów, nawet poważne suknie duchownych znaczyły się czarnemi plamami wśród sal wystawowych.

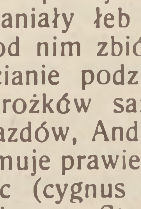
A nas myśliwych ciągnęły te sale do siebie magnetyczną siłą! Wszak na ich ścianach zawiesiliśmy nasze trofea, a z nimi razem najmilsze nasze życiowe wspomnienia! Niektóre świeże, pachnące jeszcze żywicą jodeł karpackich praborów, lub sosen nizinnych naszych kniei, aromatem naszych pól, łąk i wód, inne już starsze, nieraz bardzo dawne, tem droższe, że z młodości skrzydlatej pochodzące lat!

I starzy myśliwi chodzili tam gwarzyć całemi godzinami, o swych wspominać przewagach, a młodzi uczyli się kochać to wspaniałe potęgą i rozmaitością polskie łownictwo i przekonywali się, jakie ono może im dać rozkosze, jeżeli św. Hubert pozwoli z morza naszych borów czystą i wielką wyłowić czasem perłę w postaci wspaniałej myśliwskiej zdobyczy.

Wchodzimy do przedpokoju wystawowego. Widzimy w nim na wstępie wspaniały łeb jelenia 20-ka (Muzeum im. Dzieduszyckich), pod nim zbiór rożków sarnich p. G. Müllera, na drugiej ścianie podziwiamy tablicę przedstawiającą kolekcję z 44 rożków sarnich (dobrych 6-aków) z jednego sezonu podjazdów, Andrzeja ks. Lubomirskiego, przeciwległą ścianę zajmuje prawie całą, wspaniały w pozie wiszącej łabędź gędziec (cygnus musicus) ubity tej zimy przez p. A. Onyszkiewicza w Stryjskiem. W głębi przedpokoju widzimy szafę z bronią rusznikarza lwowskiego, E. Dmytracha*) a na niej zrywającego się do lotu, pochodzącego z Kaczanówki nad Zbruczem łabędzia gędźca. Nad wchodowemi do sali drzwiami wiszą kapitalne łopaty łosia (Muzeum im. Dzieduszyckich).

Każdy wchodzący do sal musi odnosić potężne wrażenie na ogólny widok wystawy. 51 wieńców jeleni, 187 par rożków sarnich, 18 łbów i 48 par szabel dziczych przedstawiają się w masie okazale. Dodają efektu olbrzymi łeb łosia łopaciarza, odyniec srokaty, rysie, skóry niedźwiedzie i wilcze, wreszcie okazałe ptactwo nasze rozmieszczone po oknach i po bogato zielenią borów umajonych ścianach, pieszczą oko myśliwego potęgą, rozmaitością i artystyczną harmonią. (C. d. n.)

*) Zastępstwo firmy „Hubertus“ w Pradze.





Sprawy Towarzystwa.

Posiedzenie Wydziału w dniach 12. i 13. czerwca, tudzież w dniu 22. czerwca 1922.

Przewodniczył w dniach 12. i 22. czerwca prezes Juliusz A. hr. Bielski, zaś w dniu 13. czerwca wicepr. Czarkowski-Golejewski.

Zamianowano w dalszym ciągu na powiat Gorlice delegatami: Dr. Stefana Szczanieckiego w Kwiatanowicach, Henryka Groblewskiego w Szymbarku i Ludwika Wybranowskiego w Libuszy.

W poczet członków Towarzystwa przyjęto: Feliksa Orzechowskiego, inż. Kazimierza Obertyńskiego, Stanisława Kędzierskiego, Franciszka Zdańskiego, Kazimierza Wacka, Alfreda Teppera, Kazimierza Jaklińskiego, Witołda Cieńskiego, Towarzystwo św. Huberta w Jarosławiu, Tadeusza Tyralskiego, Adama Ungierta, Juliusza Holcera, Tadeusza Blumskiego, Dra Leopolda Bilowickiego, Towarzystwo myśl. „Djana“ w Łańcucie, Józefa Isterewicza, Stanisława Korolewskiego, Dr. Stanisława Wojciechowskiego, Stanisława hr. Łosia, Gustawa Brubachera, Franciszka br. Heydla, Witołda Pindelskiego, Karola Groblewskiego, Dr. Józefa Rosińskiego, Różę Prekową i Ksawerego Jarużelskiego.

Na posiedzeniach w powyższych dniach uchwalono nowy regulamin dla delegatów, dalej projekt zmiany Statutu, mający się przedstawić Walnemu Zgromadzeniu, ustalono też tekst memorjału, w sprawie założyć się mającego Ogólnego Związku Łowieckiego, tudzież poruszono wiele innych, doniosłych dla przyszłości Towaszystwa spraw, zajmując się równocześnie sprawami Zjazdu.

Szczegółów nie podaje się, gdyż echem intensywnej pracy Wydziału w owych dniach jest sprawozdanie z Walnego Zgromadzenia, w tymsamym zeszycie rozpoczęte.

Od Wydziału i Redakcji!

Z powodu urlopu wypoczynkowego sekretarki Towarzystwa, będzie tegoż biuro w lipcu, w godzinach porannych zamknięte; w godzinach przedwieczornych będą dyżurować członkowie Wydziału.

Z powodu wyczerpania nakładu pierwszych trzech zeszytów „Łowca“ z b. r., otrzymają myśliwi, zgłaszający się na członków Towarzystwa, po 1. lipca 1922 to wydawnictwo tylko od 1. kwietnia, czyli od 4-tego zeszytu. Na tę okoliczność zechcą Panowie Delegaci zwracać uwagę osób, któreby po tym dniu na członków Towarzystwa zjednywali.

Również upraszamy P. T. naszych akwizytorów abonamentu „Łowca“, by odtąd zobowiązań dostarczenia „Łowca“ poza 4-ty zeszyt z b. r. wstecz nie zaciągali.

W wykonaniu uchwały Walnego Zgromaezenia roześle Wydział w najkrótszym czasie Panom Delegatom Towarzystwa odpowiednio porubrykowane arkusze subskrypcyjne, a niniejszem wzywa Ich do energicznej agitacji za subskrypcją na rzecz Towarzystwa, tudzież, by zechcieli wypełnione arkusze i zebrane sumy odesłać najdalej do końca sierpnia b r. Zważywszy zaś, że wielu członków Towarzystwa zechce niewątpliwie spełnić obowiązek finansowego poparcia Towarzystwa, jeszcze zanim Delegat Towarzystwa będzie miał sposobność z nimi mówić, dołączamy do niniejszego zeszytu blankiety P. K. O., które prosimy użyć do przesyłania przeznaczonych na ten cel sum, przy zaznaczeniu na odwrotnej stronie blankietu (po naklejeniu tam przepisanego dla tego rodzaju korespondencji znaczka pocztowego), iż suma ta na ten właśnie cel przeznaczoną zostaje.

Członków Towarzystwa, którzy na Walnem Zgromadzeniu wciągnięte do arkusza kwoty subskrybowali, lecz ich dotąd nie wpłacili, upraszamy, by je załączonymi do „Łowca“ czekami co rychlej nadesłali, pamiętni zasady: bis dat, qui cito dat.

Po Walnem Zgromadzeniu subskrybowali i wpłacili Pp.:

Włodzimierz Barański senior . . .	30.000 Mp
Tadeusz Barański	20.000 „
Eustachy Barański	20.000 „
Alired Tepper	5.000 „
Dr. Adam Sołowij	10.000 „
Dr. Edward Schechtel	5.000 „
razem . . .	90.000 Mp
do której kwoty doliczając sumę na Walnem Zgromadzeniu subskrybowaną, ...	662.000 „
otrzymujemy dotychczasowy wynik subskrypcji w kwocie	752.000 Mp

Nazwiska dalszych subskrybentów, z podaniem kwot subskrybowanych, będą nadal zawsze pod tą rubryką umieszczane.

Wydział poczuwa się do miłego obowiązku serdecznego podziękowania Korpusonowi oficerskiemu rzeszowskiemu i Towarzystwu myśliwych w Rzeszowie, tudzież Panu Delegatowi Piotrowi Łastowieckiemu za nadesłane nagrody premiowe.

Niestety, premie te, nadszedłszy pocztą w trzy dni po strzelaniu, nie mogły przypaść zwycięzcom w tegorocznych zawodach, zostaną jednak przechowane starannie do następnego premiowego strzelania.

Zamknięcie polowania na rogacze i jeleni w całym powiecie liskim, zarządziło tamt. Starostwo, reskryptem z dnia 10. czerwca 1922, L. 15056/K, na czas od daty reskryptu, po dzień 31. maja 1924.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.